

# Życie to (nie) jest gra w makao

„Dropie” Nataliki Suszczyńskiej w reż. Marcina Libera w Teatrze im. W. Horzycy w Toruniu. Pisze Anna Jazgarska, członkini Komisji Artystycznej 30. Ogólnopolskiego Konkursu na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej.

Pierwsze minuty przedstawienia Michała Kmiecika (scenariusz) i Marcina Libera (reżyseria) to obrazowe, bardzo zabawne i przejmujące streszczenie prekariackiego losu, z całą jego tymczasowością, niepewnością, a przede wszystkim trudnością w ustaleniu własnej (zawodowej) tożsamości. W Dropiach Teatru im. Horzycy w Toruniu trójpostaciowa główna Bohaterka (Joanna Rozkosz, Julia Sobiesiak-Borucka i gościnnie występująca Weronika Krystek) mogłaby zostać prekariuszką modelową, gdyby nie fakt, że nikt takich modeli egzystencjalnych nie potrzebuje. Bohaterka (nie)pracuje na „cieplutkiej umowie śmieciowej”, wynajmuje patodeweloperski kąt od krwiożerczego Landlorda (Grzegorz Wiśniewski), je wyłącznie makaron z pesto (kulinarny hit „biedawkowych” grup w mediach społecznościowych), i nie interesuje ją już nic, co kiedyś ją jeszcze interesowało. Wsparcia nie widać na żadnym z horyzontów, ale narzekać nie przystoi, bo odezwią się zaraz ci, którzy mieli gorzej, którzy na przykład, jak głosi klasyka internetowej pasty, mieszkali w jeziorze i na śniadanie jedli wiatr.

Grane w kameralnej przestrzeni Sceny na Zapleczu Dropie zapraszają nas do wnętrza różowej bańki. Plastyczna kompozycja Macieja Salamona (scenografia) i Mirka Kaczmarek (kostiumy, światła) powtarza róż i „robaczki” czarnej kreski z projektów Bolesława Chromego, autora okładki do książki Dropie Nataliki Suszczyńskiej. Ten wydany w 2019 roku przez wydawnictwo Ha!Art tomik opowiadań to surrealistyczny „literacki mockument”, ustanawiający swoimi bohaterami i bohaterkami pokolenie „okołotrzydziestolatków”, ludzi naznaczonych kłutwą permanentnego braku poczucia bezpieczeństwa, niestałości i niewidzialności. W toruńskich Dropiach najbardziej podstawowym dla przedstawienia wcieleniem tych deficytów jest scenograficzno-kostiumowa, monochromatyczna koncepcja duetu Salamon/Kaczmarek: zuniformizowane kostiumy (róż pokryty „tatuazowymi” grafikami) i osobliwe „rzeźby”, które zerkają na nas (dosłownie i w przenośni) z różnych punktów scenicznej przestrzeni. Aż chciałoby się rzec: „Pink is the new black”! Bo klasyczną dwudziestowieczną czerń egzystencjalnego smutku i tożsamościowego zakłopotania zamalował wszechobecny w Dropiach różowy lakier. Kolor bankowych logotypów, obiecujących lichwiarskie pożyczki, kolor popularnej pasty do szorowania fug w wynajmowanych kłitkach. Kolor najtańszych linii lotniczych, których bilety i tak okazują się zawsze za drogie. Kolor tego, co kompulsywne, prędkie, tanie i jednorazowe. I kiedy my jeszcze mościmy się na widowni, szóstka postaci w identycznych strojach (wspomniani Rozkosz, Sobiesiak-Borucka, Krystek i Wiśniewski, a także Igor Tajchman i występujący gościnnie Adam Szustak) krąży, nieco zmieszana i zagubiona, po tej różowej przestrzeni, której kompozycja przywodzi na myśl wystawę sztuki, ale też trochę garażową wystawę. Gdy jesteśmy gotowi i zastygamy w wyczekującym bezruchu, oni układają się gdzie popadnie i okrywają czule bąbelkową folią.

„Wszystko potoczyło się szybko i dosyć dramatycznie” – mówi Bohaterka Dropi, a jej przekorna narracja uruchamia ciąg komiksowych zdarzeń, które rozpoczynają się dającym fałszywe nadzieje porwaniem prekariuszki przez UFO. Ta mikropowieść, podobnie, jak wiele innych tutaj, kończy się dla Bohaterki bolesnym, acz spodziewanym rozczarowaniem. Po kilku manewrach w prawo i w lewo, niezidentyfikowany obiekt kosmiczny wtrąca ją bowiem w kolejną, swoiście nieuczciwą wobec niej opowieść. No cóż: „Ile razy powiesz „smacznego”/Życie i tak będzie do niczego”, jak słyszymy w pierwszej z kilku wpisanych w Dropie, naprawdę świetnych songów Zuzy Wrońskiej i Igora Nikiforova. (Nie)spodziewana wizyta demonicznego Landlorda (Grzegorz Wiśniewski w zamasytystej pelerynie stylizującej go na wampira z kreskówkowych przedstawień), który wbrew demonicznej proveniencji bez zaproszenia „się wpierdolił do chałpy”, sfinalizowana jest wyrzuceniem Bohaterki z dotychczas zajmowanego przez nią mieszkania w jeszcze głębszą i bardziej podstępłą niepewność. „Mogłaś trafić gorzej” – pasywno-agresywna uwaga, którą wypowiada

Przedsiębiorczy Trzydziestolatek (Adam Szustak gościnnie), brzmi z pozoru całkiem niewinnie (ot, taka regulacja napięcia kosztem słabszej jednostki), ale jeśli się w nią wsłuchać uważnie, dociera do nas jej przeraźliwy, rozlany na całe pokolenia sens. „Mogliśmy trafić gorzej” to zdanie warunkujące losy polskiej wersji prekariatu, ufundowane na „archetypicznych”, a podważających indywidualną perspektywę i doświadczenie przekonaniach (z flagowym „co wolno wojewodzie to nie tobie, smrodzie” na czele); to fraza stopująca docieklivość, uważność i nadmierne ambicje, rozmywająca odpowiedzialność, a co najistotniejsze – infekująca wirusem permanentnego lęku. Ale nie ma się czego obawiać (prócz może postaci wampirzego Landlorda), Kmieciek i Liber nie szukają winnych, nie wskazują nikogo palcem. To nie sztuka interwencyjna, lecz zaproszenie do wspólnego tańca, w jednym z momentów przedstawienia – bardzo dosłowne.

Prekariackie losy Bohaterki pełne są zwrotów, cofnięć i zniknięć. Labrador Borys Szyc (Adam Szustak), przełączający zawodowo światła w miejskiej sygnalizacji czy Rudolf Marek (Igor Tajchman), sprzedawca nieświeżych zapiekaneek oraz samozwańczy „artysta”, wikłają Bohaterkę w niejasne, zwiastujące kłopoty sytuacje, a każda jej próba wyjścia poza krajobraz naznaczony kombinatorstwem spod znaku „jakoś to będzie” to w zasadzie męczące dreptanie po trajektorii niezmiennego losu. Ta ostentacyjnie zawita, absurda, podważająca wielokrotnie samą siebie linia narracyjna przedstawienia zainscenizowana jest z absolutnym (wy)czuciem intencji i klimatu oryginału Suszczyńskiej. W opowiadaniach o ludziach zamieszkujących śmietnikowe wiaty, rowy przy obwodnicach miast i „wysokoartystyczne” piwnice humor (specyficzny, pełen pokoleniowych wtrąceń, ale działający sprawnie i kiedy trzeba) splata się harmonijnie z bezpretensjonalną poetyckością, jakby samoistnie otulając tu postaci i zdarzenia. Co ważne, ta opowieść nigdy nie popada w skrajność: nie jest ani wyłącznie efektowną teatralnie, dowcipną zabawą, nie staje się też zdominowanym przez społeczną publicystykę esejem. Kmieciek i Liber sprawnie krążą między zgrywą a powagą, sprytnie uruchamiają obok siebie żarty i całkiem poważne rozpoznania, a my bawimy się świetnie, prowadzeni przez kolejne przygody Bohaterki i jej skarnawalizowanej rzeczywistości, przedstawione z efektownie i z niesłabnącą energią. Składa się na ten sukces spójność teatralnych pomysłów: wspomniane już, radykalne w swojej plastyce scenografia, kostiumy i światła; dźwięk, ale także i świetna choreografia współpracującego po raz kolejny z Liberem duetu Hashimotowiksa (Katarzyna Kulmińska i Paulina Jaksim). Dropie to także dobra, (auto)ironiczna aktorska praca całego zespołu, który płynnie przechodzi między różnymi postaciami, z Joanną Rozkosz i występującym gościnnie w Horzycy Adamem Szustakiem na czele. Osoby znające wcześniejszą twórczość duetu Kmieciek/Liber, mogą również odnieść wrażenie, że ten pastelowy mikrokosmos to swego rodzaju semantyczne kontinuum dla przedstawienia *Ale z naszymi umarłymi*, które twórcy zrealizowali (na podstawie prozy Jacka Dehnela) w Teatrze Żeromskiego w Kielcach w 2022 roku. „No to jesteśmy w tej Europie i w końcu jest różowo!” – zdają się krzyknąć złośliwie toruńskie Dropie. Oczywiście, JAK TO MY, spóźniliśmy się nieco. W Europie bowiem „jest gorzej, serio”, a Imigranci z Krajów Beneluksu właśnie zajmują nasze śmietnikowe wiaty „z nadzieją na ciepłutkie umowy śmieciowe i pracę w gastronomii zwłaszcza w kebabach”.

Krajobraz przedstawienia, ten dosłowny, jak i ten znaczeniowy, zanurzony jest w rozmywającej kształty mgłę, która swoiście zmiękcza ów świat, ale i poniekąd usypia naszą czujność wobec niego. Nie raz i nie dwa wewnątrz tej różowej, miękkiej banieczki zaskakuje nas nagłym wyłonieniem się niespodziewanej ostrości. Mogą być nią na przykład kłujące zapytania: „czy ty (...) naprawdę myślisz że nie zasługujesz na nic lepszego?”, „tyle od życia wystarczy?”. A wtedy, niczym na dźwięk dziecięco-magicznego rozkazu „stop zabawa”, zamieramy na moment w niewygodnej pozycji. Nonszalancja, którą ten różowy świat tak emanuje przy pierwszym odbiorze, to sprytny kamuflaż, ukrywający naturę opowiadanej rzeczywistości. Zbudowanej z serii odbić i powtórzeń, biograficznych, tożsamościowych czy językowych, które pełnią funkcje narzędzi demaskujących. Bo ten największy dowcip śmieszno-smutnych Dropi, polega na tym, że na jednym ze swych poziomów to przedstawienie bardzo skutecznie diagnozuje to, czego chyba wcale nie mamy ochoty dotykać, a zwłaszcza tutaj, na tej cukierkowo-mglistej, tak przecież fajnej imprezie. Bohaterka mówi: „ja nie myślałam że to już/ myślałam że mam jeszcze czas/ że się przygotowuję”, a za tą refleksją, wypowiedzianą nieco na marginesie

głównych zdarzeń, idzie niepokój. O to, co zaniechane, zostawione z niemocy, omijane wzrokiem (jak różowy kleszcz podwieszony nad sceną, który, wiadomo, w końcu spada); to, co przełożone czy przełknięte z goryczą. O wszystko to, co zaśmiewane notorycznie (Dropie znakomicie ten mechanizm subwersują) w obronnym geście. „Życie to nie jest gra w makao/Karty rozdane nic już nie zostało” – zapadającą w pamięć (i w ucho) piosenkę różowych prekariuszy możemy w tym kontekście potraktować jako lament, ale też i wyraz sprzeciwu, niezgodę na to, co rzeczywistość podsuwa nam do podpisu.

A o co chodzi z tytułowymi ptakami? Jak mawia stare prekariackie porzekadło: jeśli nie wiadomo, o co chodzi, chodzi o hajs. Dropie, kiedyś powszechne w Polsce, nagle przestały tu występować, opowiada toruńskie przedstawienie, bo stały się niepotrzebne – ci cisi superbohaterowie wspomogli nas w walce z nieszczęściami dwudziestego wieku i odfrunęli synchronicznie do nadciągającej chmury kapitalizmu. W przedstawieniu Kmiecika i Libera dropiowa banda to trochę zbiorowe alter ego (zbiorowej) Bohaterki, a nieco rodzaj chóru, jak z antycznej tragedii. Dropie znikają, gdy Bohaterka w końcu odnajduje względny egzystencjalny spokój, który oferuje jej tajemnicza choroba („L4” jako tymczasowy ratunek dla wyzysku, brzmi znajomo?). Jest nią pecunia tussis, a jej objawów nie zdradzę, by nie psuć tej przedniej, naprawdę przedniej zabawy, do której zapraszają nas Dropie Michała Kmiecika i Marcina Libera w Teatrze Horzycy w Toruniu. Ja z niej wyszłam z dwoma słowami w dłoni i trudnym do wyparcia pytaniem, sformułowanym przez podstępne dropie: „a gdzie widzisz siebie za dziesięć piętnaście lat”.